

Rozdział I

Mężczyźni objaśniają mi świat

2008

Nadal nie wiem, dlaczego wraz z Sallie postanowiłyśmy wybrnąć się na to przyjęcie, na porośniętych lasem zboczach ponad Aspen. Pozostali goście byli od nas starsi i nudni w pewien szczególny sposób, tak starzy, że my, wówczas około czterdziestoletnie, uchodziłyśmy na przyjęciu za młode damy. Dom był wspaniały – pod warunkiem że lubi się alpejskie domy w stylu Ralphi Laurena – solidna, lukusowa chata na wysokości prawie 2800 metrów, ozdobiona rogami łosi, masą kilimów i paleniskiem pełnym płonącego drewna. Już miałyśmy wychodzić, gdy nasz gospodarz – świetnie zarabiający, pewny siebie mężczyzna – zaproponował: „Nie, nie, proszę zostać trochę dłużej, chciałbym mieć okazję z paniami porozmawiać”.

Czekaliśmy, podczas gdy pozostali goście powoli odpływali w letnią noc, aż wreszcie gospodarz usadowił nas przy stole z grubego, poznaczonego sękami drewna i zwrócił się do mnie:

- Jak słyszałam, napisała pani kilka książek.

- Kilka, rzeczywiście – odpowiedziałam.

Tonem, jakim zazwyczaj zachęca się siedemnastoletnią córkę znajomych, żeby opowiedziała o swoich próbach gry na flecie, nasz gospodarz spytał: „A więc o czym one są?”

Prawdę mówiąc, moje książki, których wówczas wydałam już sześć czy siedem, dotyczyły kilku bardzo różnych kwestii, ale tego letniego dnia w 2003 roku zaczęłam opowiadać o najnowszej, *River of Shadows: Eadweard Muybridge and the Technological Wild West* (Rzeka cieni: Eadweard Muybridge i technologiczny Dzik Zachód), traktującej o unicestwieniu czasu i przestrzeni i uprzemysłowieniu codziennego życia.

Gospodarz przerwał mi, gdy tylko wymieniałam nazwisko Muybridge’a. „Czy słyszała pani o bardzo ważnej książce na temat Muybridge’a, która ukazała się w tym roku?”

Tak dalece weszłam w narzuconą mi rolę debutantki, że byłam gotowa wziąć pod uwagę ewentualność, że równocześnie z moją ukazała się inna publikacja na ten sam temat, a ja jakimś cudem ją przegapiłam. Gospodarz właśnie zaczął mi opowiadać o tej ważnej książce – przybierając doskonale mi znaną pełną samozadowolenia pozę perorującego go mężczyzny: zapatrzony w odległy horyzont, na którym niewyraźnie majaczy odbłask jego własnego autorytetu.

Chciałabym w tym miejscu zaznaczyć, że na co dzień stale spotykam uroczych mężczyzn: wliczając w to wielu redaktorów i wydawców, którzy od czasów mojej młodości słuchali mnie, dodawali mi odwagi i publikowali moje

teksty, oraz mojego nieskończenie wielkodusznego młodszego brata i jego wspaniałych przyjaciół, o których można powiedzieć – jak o Szkolarzu z *Opowieści kanterberyjskich*, zapamiętanym przeze mnie z zajęć pana Pelena o Chaucerze – że uczyli „tak siebie, jak innych z radością”. Wciąż jednak trafram także na zupełnie innych mężczyzn. Tak więc Pan Bardzo Ważny perorował pouczającym tonem o książce, którą powinienam znać, aż wreszcie Sally przerwała mi i powiedziała: „To jej książka”. No, w każdym razie próbowała mi przerwać.

On jednak perorował nadal. Sally musiała powtórzyć „To jest jej książka” trzy lub cztery razy, nim przyjął to do wiadomości. A gdy wreszcie zrozumiał, wówczas, jak w dziewiętnastowiecznej powieści, zbladł jak płótno. To, że byłam autorką bardzo ważnej książki, której on, jak się właśnie okazało, nie przeczytał, a tylko dowiedział się o niej z „New York Times Book Review” kilka miesięcy wcześniej, tak bardzo wstrząsnęło schludnymi kategoriami, za pomocą których uporządkowany był jego świat, że zamart – w każdym razie na chwilę, potem znów zaczął perorować. (Jako kobiety, byłyśmy dość uprzejme, żeby oddać się poza zasięg słuchu, zanim zaczęłyśmy się śmiać – ale za to tak naprawdę nigdy nie przestałyśmy).

Lubię zdarzenia tego rodzaju, kiedy siły, które zazwyczaj działają podstępnie i których działanie trudno udowodnić w sposób niebudzący wątpliwości, nagle stają się jawne i tak oczywiste, jak, powiedzmy, to, że anakonda poknęła krowę albo że stoń narobił na dywan.

Uciszanie – równia pochyla

Oczywiście osobom każdej płci zdarza się pojawiać na różnych spotkaniach i rozprawiać o rzeczach bez związku z tematem lub snuć teorie spiskowe. Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że całkowita, konfrontacyjna pewność siebie połączona z całkowitą niewiedzą jest upłciowiona. Mężczyźni objaśniają rzeczy tego świata mnie i innym kobietom niezależnie od tego, czy wiedzą, o czym mówią, czy też nie. W każdym razie niektórzy mężczyźni.

Każda kobieta wie, o czym mówię. Istnieje pewien rodzaj tupetu, który utrudnia kobietom działanie na wszelkich polach: powstrzymuje je przed zabieraniem głosu, a zarazem sprawia, że nawet jeśli odważą się go zabrać, ich głos pozostaje niesłyszalny, zmusza młode kobiety do milczenia, pokazując im (podobnie jak na przykład zjawisko molestowania na ulicy), że ten świat nie należy do nich. Tresuje nas w wątpieniu we własne siły i w samoograniczeniu się, pozwalając zarazem mężczyznom ćwiczyć się w niczym nieuzasadnionej nadmiernej pewności siebie.

Nie byłabym zdziwiona, gdyby okazało się, że na rozwój wypadków w polityce amerykańskiej po 2001 roku częściowo przynajmniej wpłynęło to, że głos Coleen Rowley, agentki FBI, która zastosowała wczesne ostrzeżenia na temat Al-Kaidy, nie mógł wybrzmieć i nie został wysłuchany; z pewnością zaś wpływ na tenże rozwój wypadków miał fakt, że administracji Busha nie można było wythumaczyć absolutnie niczego, nawet tego, że Irak nie ma żadnych

związków z Al-Kaidą ani żadnej broni masowego rażenia i że wojna to nie będzie „bułka z masłem” (w tym przypadku nawet eksperci-mężczyźni nie byli w stanie przebić się przez mur samozadowolenia mężczyzn u władzy).

Arogancją, która mogła mieć wpływ na wybuch wojny, stanowi zarazem jeden z objawów czegoś, co samo w sobie jest wojną: wojną, w której codziennie walczy każda niemal kobieta, wojną, która toczy się także w niej samej, wojną z przekonaniem o własnej zbędności, z nakłanianiem do milczenia. Jak się okazuje, nawet dość udana kariera piosarki (której praca wymaga masy badań i starannego doboru faktów) nie zdołała zapewnić mi pokoju. W pewnej chwili byłam przecież gotowa pozwolić, aby Pan Ważny i jego wygórowane mniemanie o sobie przeważały nad moją kruchą pewnością siebie.

Nie zapominajmy przy tym, że ja akurat zdobyłam o wiele silniejsze potwierdzenie swojego prawa do myślenia i mówienia niż większość kobiet i nauczyłam się też, że pewien poziom braku wiary w siebie może być użytecznym narzędziem, pozwalającym poprawiać, rozumieć, słuchać i robić postępy – o ile bowiem zbyt mała pewność siebie działa paraliżująco, o tyle nadmierna wytwarza aroganckich bubków. Istnieje złoty środek między tymi skrajnościami, ku którym popychana jest każda z płci, równikowy pas czy, miejsce dawania i brania, gdzie możemy się spotkać.

Problem ten widać jeszcze wyraźniej na przykładzie kilku krajów Bliskiego Wschodu, w których zeznania kobiet są pozbawione mocy prawnej do tego stopnia, że kobieta nie

może zeznać, że została zgwałcona, o ile nie ma świadka-mężczyzny, który mógłby podważyć zeznanie gwałciciela*. Co raczej rzadko się zdarza.

Wiarygodność jest jednym z najważniejszych narzędzi umożliwiających przetrwanie. Kiedy byłam jeszcze bardzo młoda i dopiero zaczynałam rozumieć, o co chodzi w feminizmie i dlaczego potrzebujemy go jak powietrza, miałam chłopaka, którego wujek był fizykiem nuklearnym. Pewnego razu, akurat na Gwiazdkę, opowiadał tonem lekkiej towarzyskiej anegdoty, jak żona sąsiada na podmiejskim osiedlu fizyków pracujących nad produkcją bomb w środku nocy wybiegła z domu całkowicie naga, krzyząc, że mąż próbuje ją zabić. Skąd, spytałam, wiedział pan, że mąż nie próbował jej zabić? Wyjaśniłmi spokojnie, że przecież oboje byli szanowanymi przedstawicielami klasy średniej. Co za tym idzie, fakt, że mąż mógłby chcieć zabić żonę, nie stanowił wiarygodnego wyjaśnienia dla tego, że kobieta wybiegła z domu, krzyząc, że mąż próbuje ją zabić. Natomiast, z drugiej strony, kobieta mogła przecież być wariatką...

Nawet uzyskanie zakazu zbliżania – a jest to stosunkowo nowe narzędzie prawne – wymaga wiarygodności

* „Bliski Wschód” obejmuje państwa, których prawo opiera się na prawie religijnym (np. Arabia Saudyjska), także, w których prawa religijne, niekoniecznie muzułmańskie, regulują pewne aspekty życia (np. Izrael czy Liban, niezajmące służbów cywilnych) i także, gdzie jak w Turcji, prawo jest świeckie. W islamie funkcjonują cztery sunnickie szkoły prawne i jedna szyicka, prawo jest otwarte na reinterpretację, stąd trudno o uogólnienia. Podstawowe informacje na temat świadectw kobiet podaje angielska Wikipedia: https://en.wikipedia.org/wiki/Status_of_women%27s_testimony_in_Islam (dostęp: 7.08.2017). O ile nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki.

pozwalającej przekonać najpierw sąd, że jakis facet stanowi zagrożenie, a następnie policjantów, że powinni wprowadzić zakaz w życie. Zresztą tak czy owak zakaz zbliżania często nie działa. Przemoc to jeden ze sposobów uciszania ludzi, odmawiania im głosu i odbierania wiarygodności, utwierdzania się w prawie do kontrolowania innych i stawiania tego prawa ponad ich prawem do istnienia. W Stanach Zjednoczonych codziennie trzy kobiety giną, zamordowane przez mężów, partnerów lub byłych partnerów. Jest to zarazem jedna z najczęstszych przyczyn śmierci ciężarnych kobiet w tym kraju. Kluczem do zwycięstwa w feministycznej walce o to, żeby gwałt, gwałt na randce, gwałt małżeński, przemoc domowa i molestowanie seksualne w miejscu pracy zostały uznane za przestępstwa, jest zapewnienie kobietom wiarygodności i słyszalności.

Jestem przekonana, że kobiety zyskały prawny status istot ludzkich wówczas, gdy tego rodzaju akty skierowane przeciwko nim zaczęto traktować serio, kiedy czyny, które nas ograniczały i zabijały, zaczęły być rozpoznawane przez prawo – czyli gdzieś od połowy lat siedemdziesiątych, kiedy byłam już na świecie. A gdyby ktoś chciał kwestionować, że zastraszanie i molestowanie seksualne w miejscu pracy jest sprawą życia i śmierci, pragnę przypomnieć, że dwudziestoletnia kapral Maria Lauterbach z Korpusu Marines została zamordowana pewnej zimowej nocy przez wyższego rangą żołnierza, dokładnie wtedy, kiedy zamierzała złożyć przeciwko niemu zeznania, oskarżając

go o gwalt. Spalone szczątki jej ciała (była w ciąży) znaleziono w ognisku na jego podwórku.

Przysłuchiwanie się, jak ktoś, z całą stanowczością, twierdzi, że on wie, o czym mówi, a ona nie – nawet jeśli jest to tylko jeden z aspektów rozmowy – utrwala szpetotę tego świata i odbiera mu blask. Po ukazaniu się w 2000 roku mojej książki *Wanderlust* (Namiętność do włóczęg) odkryłam, że jestem całkiem dobrze przygotowana do tego, by radzić sobie z próbami tyranizowania mnie i pomniejszania znaczenia moich spostrzeżeń i interpretacji. Mniej więcej w tym czasie w dwóch sytuacjach skrytykowałałam zachowanie jakiegoś mężczyzny, tylko po to, żeby natychmiast usłyszeć, że wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż mówiłam, że byłam subiektywna, coś sobie uroiłam, nadmiernie się denerwowałam, byłam nieuczciwa – jednym słowem, byłam kobietą.

Dawniej w takiej sytuacji zwątpiłabym w siebie i wycofała się. Jednak odkąd jako autorka pisząca o historii zyskałam pewną pozycję, łatwiej mi obstawiać przy swoim. Bardzo niewiele kobiet cieszy się tego rodzaju wzmocnieniem. Milionom kobiet żyjących na tej siedmiomiliardowej planecie dano jasno do zrozumienia, że nie są wystarczająco wiarygodne, by zaświadczać o własnym życiu, że prawda nie należy do nich, ani teraz, ani w ogóle. Oczywiście to, o czym mówię, to o wiele więcej niż po prostu Mężczyźni, Którzy Objasniają Świat, ale jedno i drugie mieści się na tym samym archipelagu bezbrzeżnej arogancji.

Mężczyźni wciąż objaśniają mi świat. I jak dotąd żaden z nich nie przeprosił mnie za błędne objaśnianie mi rzeczy, na których ja się znam, a on nie. Przynajmniej na razie. Ale jako że zgodnie z aktualnymi statystykami mogę mieć przed sobą jeszcze nawet ponad czterdzieści lat życia, kto wie, co może się zdarzyć. Powiedzmy, że nie wstrzymuję oddechu w oczekiwaniu.

Kobiety walczą na dwóch frontach

Kilka lat po spotkaniu z opisanym wyżej głupcem z Aspen byłam w Berlinie, miałam tam wykład. Marksistowski dziennikarz Tariq Ali zaprosił mnie na kolację, na której znalazł się także pewien pisarz, tłumacz i trzy nieco młodsze ode mnie kobiety, trwające w podziwieniu i milczeniu. Tariq był wspaniały. Tłumacza za to chyba irytowało, że próbuję odegrać choćby skromną rolę w rozmowie. W każdym razie kiedy powiedziałam coś o tym, jak to Women Strike for Peace (Strajk Kobiet dla Pokoju), nie zwykła, mało znana antynuklearna i antywojenna grupa, która powstała w 1961 roku, pomogła zniszczyć Komisję do Badania Działalności Antyamerykańskiej i zakończyć polowanie na komunistów, Pan Bardzo Ważny II posłał mi szyderyczy uśmiech. Komisja, stwierdził, na początku lat sześćdziesiątych już nie istniała, a poza tym tak czy owak w jej upadku podobnej roli nie odegrała żadna kobieca organizacja. Jego pogarda była tak miażdżąca, a pewność siebie tak podszyta agresją, że spieranie się z nim wydawało

się niebezpiecznym ćwiczeniem z bezowocności i zaproszeniem do kolejnych obraźliwych uwag.

Miałam wtedy już chyba na koncie dziewięć książek, w tym jedną opartą na wywiadach z jedną z przywódczyń Women Strike for Peace i dokumentach na temat organizacji. Jednak mężczyźni, którzy objaśniają, wciąż wychodzą z założenia, że jestem, jeśli mogę użyć nieco obscenicznej ciężowej metafory, pustym naczyniem, które czeka, aby napełnić je swoją mądrością i wiedzą. Freudysta mógłby twierdzić, że wie, co oni mają, a czego mi brak, tyle że inteligencja nie mieści się w kroczu – nawet jeśli potrafisz ułożyć jedną z tych miodopłynnych, muzycznych fraz Virginia Woolf mówiących o delikatnym ujarzmianiu kobiety na śniegu mocą twojego interesu. Powróciwszy do hotelu, zaczęłam przeszukiwać internet i ustaliłam, że Eric Bentley w swojej pracy o historii Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej przypisuje organizacji Women Strike for Peace „zadanie ostatecznego ciosu, kluczowego dla upadku Bastylii Komisji”. Na początku lat sześćdziesiątych.

Dlatego też mój artykuł (poświęcony Jane Jacobs, Betty Friedan i Rachel Carson) dla „Nation” zaczęłam od przytoczenia tamtej rozmowy. Po części zrobiłam to po to, żeby wykrzyczeć jednemu z najbardziej niemiłych mężczyzn, jacy kiedykolwiek objaśniali mi świat: gościu, jeśli to czytasz, wiedz, że jesteś wrzodem na twarzy ludzkości i bawierają na drodze postępu. Wstydz się.

Walka z Mężczyznami, Którzy Objasniają Świat, niszczy wiele kobiet, zarówno z mojego, jak i z nadchodzą-

cych pokoleń, tak bardzo oczekiwanych i potrzebnych – tutaj, ale także w Pakistanie, w Boliwii, na Jawie, nie mówiąc już o tych niezliczonych kobietach przede mną, których nie wpuszczano do laboratoriów i bibliotek, nie dopuszczano do rozmów, do rewolucji ani nawet nie włączano do kategorii „człowiek”.

Ostatecznie Women Strike for Peace został założony przez kobiety zmęczone robieniem kawy, przepisującym tekstów na maszynie i brakiem głosu oraz możliwości podejmowania decyzji w antynuklearnym ruchu lat pięćdziesiątych. Większość kobiet toczy walkę na dwóch frontach: jednym na rzecz dowolnej sprawy, w jaką się angażują, i drugim – po prostu o prawo do zabierania głosu, zgłaszania pomysłów, uznania, że może się znać prawdę i dysponować faktami, posiadania wartości, bycia istotą ludzką. Jest coraz lepiej, ta wojna nie zakończy się jednak za mojego życia. Wciąż w niej walczę: we własnej sprawie, rzecz jasna, ale także w imieniu wszystkich młodszych ode mnie kobiet, które mają coś do powiedzenia – w nadziei, że będą mogły przemówić.

Postscriptum

W marcu 2008 roku podczas pewnej kolacji zaczęłam, jak mi się to już wcześniej zdarzało, żartować, że powinienam napisać esej pod tytułem *Mężczyźni objaśniają mi świat*. Każda autorka i każdy autor ma całą stajnię pomysłów, które nigdy nie trafiają na tor wysycigowy; na tym akurat

kucyku urządziłam sobie od czasu do czasu przejażdżki dla rozrywki. Pani domu, błyskotliwa teoretyczka i działaczka Marina Sitrin, zaczęła mnie przekonywać, że powinienam napisać ten esej: choćby dla takich dzweczyn jak jej młodsza siostra Sam. Młode kobiety, twierdziła, powinny się dowiedzieć, że jeśli są lekceważone, to bynajmniej nie z powodu ich własnych skrywanych braków: że mają do czynienia ze starą, nudną wojną płci, że to samo przydarza się, w tym czy innym momencie, większości z nas, kobiet.

Następnego ranka usiadłam i za jednym zamachem napisałam ten esej. Jeśli coś pisze się tak szybko, to znaczy, że przez dłuższy czas układało się gdzieś w zakamarku umysłu. Czekano na napisanie, niecierpliwiło się, chcąc trafić na tor wyścigowy, i pogalopowało, gdy tylko zasiadłam przed komputerem. Jako że w tamtym okresie Marina wstawała później niż ja, podałam jej tekst na śniadanie; później tego samego dnia posłałam go Tomowi Engelhardtowi, redaktorowi TomDispatch, i mój esej ukazał się online. Eseje publikowane na stronie Toma na ogół szybko zostają dostrzeżone – ten, odkąd pojawił się w sieci, nieustannie krąży, kopiowany, udostępniany i komentowany. Upowszechnia się szerzej niż cokolwiek, co kiedykolwiek napisałam.

Uderzył w jakąś strunę. I w jakiś nerw.

Niektórzy mężczyźni zaczęli wyjaśniać, dlaczego to, że mężczyźni wyjaśniają kobietom świat, nie jest tak naprawdę zjawiskiem związanym z płcią. Kobiety odpowiadały

na to, że upierając się przy swoim prawie do negocjowania doświadczenia, o którym mówią kobiety, mężczyźni wyjaśniają świat dokładnie w taki sposób, o jakim pisałam. (Na wszelki wypadek podkreślam: jestem przekonana, że kobietom także zdarza się protekcyjnie objaśniać świat mężczyznom. Chodź jednak o to, że w takich przypadkach objaśnianie świata nie wynika z ogromnej różnicy zakresu władzy, jaką się posiada – różnicy, która objawia się także na wiele innych, bardziej ponurych sposobów – ani nie jest elementem wzorca, wedle którego w naszym społeczeństwie funkcjonuje płeć kulturowa).

Inni mężczyźni zrozumieli, o co chodzi, i przyjęli to spokojnie. Koniec końców napisałam swój esej w czasach, kiedy mężczyźni-feminiści coraz wyraźniej zaznaczają swoją obecność, a w feminizmie jako takim jest coraz więcej zabawy. Nie wszyscy, rzecz jasna, wiedzą, że są zabawni. W 2008 roku na TomDispatch dostałam mejla od starszego pana z Indianapolis, który postanowił mi zakomunikować, że on sam „nigdy, ani w życiu osobistym, ani zawodowym, nie potraktował źle żadnej kobiety”, po czym przeszedł do strofowania mnie, że nie umawiam się ze „zwyczajniejszymi facetami albo przynajmniej nie odrabiam wcześniej pracy domowej”. Następnie udzielił mi paru rad na temat tego, jak powinienam wieść swoje życie, oraz skomentował moje „poczucie niższości”. Uważał, że bycie traktowaną protekcyjnie jest doświadczeniem, które kobiety wybierają, czy też którego mogą nie wybrać – a co za tym idzie, winą leżała po mojej stronie.

Wkrótce pojawił się portal Mężczyźni z Akademii Objaśniają Mi Świat, na którym setki kobiet ze środowiska akademickiego zaczęły zamieszczać historie o protekcyjnym traktowaniu, lekceważeniu, przerywaniu wypowiedzi i tak dalej. Pojawiło się także pojęcie „panjaśnianie”^{*}, którego autorstwo niekiedy przypisuje się mnie. W rzeczywistości jednak nie mam z nim nic wspólnego, chociaż jego powstanie zainspirował mój esej, a także wszyscy ci mężczyźni, którzy stanowili wcielenie opisanego w nim zjawiska (sama mam pewne wątpliwości co do tego słowa i niezbyt często go używam: wydaje mi się, że trochę za mocno pobrzmiwa w nim przekonanie, jakoby mężczyźni z natury obarczeni byli tą wadą; wolę poglądy, że niektórzy mężczyźni objaśniają rzeczy, których objaśnić nie powinni, zamiast słuchać tego, co powinni. Jeśli nie jest to jeszcze dostatecznie jasne, podkreślam: uwielbiam, kiedy ktoś objaśnia mi coś, na czym się zna, co mnie interesuje, ale czego wcześniej nie znałam: natomiast rozmowa zbacza na niewłaściwe tory, kiedy ktoś zaczyna wyjaśniać mi coś, na czym ja się znam, a on nie). Około 2012 roku pojęcie „zostało mi spanjaśnione” (*mansplained*) – jedno ze słów roku 2010 według „New York Timesa” – było już używane przez dziennikarzy politycznych głównego nurtu.

* W oryginalne: *mansplaining*, czyli neologizm złożony ze słów *man* i *explaining*. Po polsku funkcjonuje także przekład „męspłikacja”, zaproponowany przez Agnieszkę Graff w felietonie dla „Wysokich Obcasów” (A. Graff, *Męspłikacja: to, co powie mężczyźni, będzie ciekawsze*, „Wysokie Obcasy” 16.04.2016).

Stało się tak dlatego, że określenie to niestety doskonale pasowało do swoich czasów. TomDispatch udostępniło mój tekst ponownie w sierpniu 2012 roku, przy czym traf chciał, że mniej więcej w tym samym czasie członek Izby Reprezentantów Todd Akin (republikanin z Missouri) wygłosił swoje niesławne stwierdzenie, jakoby kobiety, które zostały zgwałcone, nie potrzebowały aborcji, ponieważ „jeśli jest to gwałt we właściwym sensie tego pojęcia, ciąża kobiety ma swoje sposoby na to, żeby się zablokować”. Podczas tamtych wyborów atmosferę nieustannie podgrzewały na zmianę kolejne porażające wypowiedzi konserwatywnych mężczyzn – stojące w sprzeczności z faktami, popierające gwałt – i feministki, które wskazywały, dlaczego potrzebujemy feminizmu i dlaczego tacy mężczyźni są niebezpieczni. Przyjemnie było stać się jednym z głosów w tym chórze: mój tekst przeżywał wtedy wielki powrót.

Struny, nerwy: kiedy to piszę, tekst wciąż krąży. Nie chodziło mi nigdy o to, żeby się skarżyć, że jestem w jakiś szczególny sposób uciemiężona. Potraktowałam opisane w moim esej rozmowy jako przykład równi pochyłej, za którą przetrzeń dla mężczyzn się otwiera, a dla kobiet – zamknięta. Przestrzeń do mówienia, do bycia słuchaną, do posiadania praw, do uczestnictwa, do bycia szanowaną, do bycia pełną i wolną istotą ludzką. W ten sposób w kulturalnych rozmowach wyrażają się relacje władzy – tej samej władzy, która dochodzi do głosu w rozmowach mniej kulturalnych, w fizycznych aktach poniżenia i przemocy, a także, często, w tym, w jaki sposób urządzony jest świat; władzy, która

ucisza, wymazuje i niszczy kobiety, niszczy równość, możliwość uczestnictwa, odbiera człowieczeństwo, pozbawia praw czy wreszcie – nazbyt często – samego życia.

Kobiety wciąż toczą walkę o to, by traktowano je jak istoty ludzkie, obdarzone prawem do Życia, Wolności i swobody ubiegania się o Uczestnictwo w kulturze i polityce, przy czym bywa to walka naprawdę brutalna. Sama się sobie dziwiłam – napisałam esej, który zaczyna się od zabawnej historyjki, a kończy gwałtem i morderstwem. Pozwoliło mi to pokazać drogę, która prowadzi od drobnych towarzyskich niedogodności do brutalnego uciszania i okrutnej śmierci (sądzę też, że lepiej zrozumiemy mizoginię i przemoc wobec kobiet, jeśli spojrzymy na nadużycia władzy jako na różne aspekty tego samego problemu, zamiast traktować jako odrębne zjawiska przemoc domową, gwałty i morderstwa, a także molestowanie i upokarzanie w sieci, w miejscu pracy, na ulicy; widząc je razem, łatwiej dostrzec łączący je wzorzec).

Prawo do tego, by stanąć i zabrać głos, jest niezbędne do przetrwania, niezbędne, by cieszyć się wolnością i godnością. Mam ten przywilej, że chociaż w młodości mnie uciszano, niekiedy brutalnie, dorostałam do tego, by mieć własny głos: ta okoliczność na zawsze związała mnie z walką tych, którym głos odebrano.

